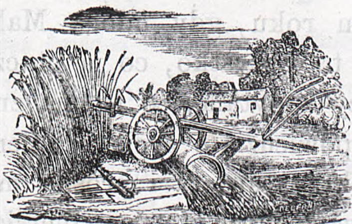
Tom I. 11. Lutego 1870. Nr. 5.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Św. Małgorzata, królewna węgierska

(1242 — 1270).

Rok 1242 w historyi wschodniej Europy krwawemi zapisany słowami. W tym bowiem roku, a raczej już pod koniec roku 1241 czerwone łuny rumieniły niebo, a krew ludzka strumieniami spływała po ziemi. Był to czas najgroźniejszego napadu Tatarów. Niezliczone hordy tatarskiej dziczy zalały całą Ruś czerwoną, a niszcząc ogniem wsie i miasta, pociągnęły aż na Kraków, który jak inne miasta zrabowano i zniszczono. Potem podzieliły się na dwa oddziały: jeden poszedł ku północy — drugi na południe ku ziemiom węgierskim.

Król węgierski Bela zatrwożony tem groźnem nieszczęściem, nie ufając już własnym siłom, uciekł się po pomoc do Boga! Gdy bowiem właśnie wtedy żona jego Marya, córka cesarza carogrodzkiego, córkę mu powiła, ślubował, iż nowo narodzone dziecię ofiaruje Bogu, jeżeli mu się tylko uda poskromić Tatarów. Bóg sprzyjał jego zamiarom; to też wkrótce Tatarzy poskromieni opuścili ziemię węgierską, a król Bela pamiętając na swoje śluby, czekał tylko chwili, kiedyby ich mógł dopełnić. Zaledwie dziecię półczwarta roku liczyło, już je oddano do klasztoru, gdzie wychowane w cnotach chrze-

ściańskich wzrastało — jak mówią — w łasce u Boga i u ludzi. Już w piątym roku, gdy młoda Małgorzata poznawać i rozumieć zaczęła to wszystko, co ją otaczało — zobaczywszy krzyż w kaplicy zapytała, co to ma znaczyć? A gdy jej jedna z zakonnic opowiedziała życie i śmierć Chrystusa, Małgorzata ucałowała krzyż święty i prosiła matkę, aby jej zrobiono maleńki krzyżyk, któryby na piersiach nosić mogła. Jakaż była radość dziecka, gdy jej przyniesiono krzyżyk zrobiony z drzewa, na którem przybito Chrystusa! W każdej modlitwie, rano i wieczór, całowała święte drzewo myśląc o Bogu. Jeszcze dzieckiem będąc prosiła, aby jej nigdy nie nazywano królewną, a gdy jej lepsze podawano pokarmy nie przyjmowała chcąc być zupełnie równą innym.

Gdy już urosła i zajaśniała wykształceniem, cnotami i urodą ciała, król polski prosił o jej rękę — ale ona odmówiła niechcąc opuszczać klasztoru. Podobnie uczyniła z królem czeskim i sycylijskim mimo namowy rodziców i samego papieża.

Złożywszy przeto przysięgę, została w klasztorze.

Siostry w zakonie, ubodzy i chorzy w całej okolicy zwali ją swym aniołem, wszystkie bowiem kosztowności i podarunki jakie otrzymywała od rodziców, rozdawała między ubogich, chorych doglądała i w potrzebne lekarstwa zaopatrywała.

Razu pewnego zdarzyło się, iż zimową porą idąc z przełożoną klasztoru przez ulicę, ujrzała żebraka, w podartym ubiorze trzęsącego się od zimna. Zdjęta litością i współczuciem — za pozwoleniem przełożonej zdjęła z siebie cieplejsze odzienie i dała je żebrakowi, a sama wróciła do klasztoru.

Siostry w zakonie doznawały od niej prawdziwie anielskiej opieki. Ona je w smutku pocieszała, w słabości doglądała — a w cnotach wzmacniała. To też słusznie nazywano ją aniołem.

Smutek powszechny zapanował w sercach biednych ludzi i towarzyszek zakonu gdy r. 1270 w 28 roku życia po krótkiej słabości zasnęła w Bogu w dniu, który kilka dni przedtem sama przepowiedziała.

Kościół obchodzi jej święto dnia 19go Lutego.

Trzy brzozy.

Przez księdza Wojciecha z Zaleszan.

Wieś Tatarynka ma na sobie to pamiętne, że ją założył król polski z jeńców tatarskich, których wojsko polskie zabrało na wojnie do niewoli, a król dobry nie kazał ich ani wygubić ani zmarnować, ale podarował dla nich dużo pola z lasami i dopomógł im wystawić wieś ładną, dał im księdza aby ich nauczał pacierza św. i przykazań boskich, aby ich dobrowolnie ochrzcił. Tak też stanęła za kilka lat wieś ładna i wielka, a na wieczną pamiątkę, że ją Tatarzy założyli, została nazwaną Tatarynka. Ale ma ta wieś drugą dobrą pamiątkę, że zaraz od samego początku fundowała przy kościele szkołę dla siebie i dla pobliskich wsi, aby tam dzieci pobierały potrzebną naukę. —

Otoż dwa roki temu zaszedłem ja w góry, które zowią Tatrami, a gdzie jest wiele gadek różnych o Tatarach między góralami. Tam w tych górach kryli się królowie, panowie, księża i lud polski i z Węgier przed napaścią Tatarów, tam zostawiła pamiątki po sobie św. polska patronka Kunegunda, Salomea, Helena, a kto wie, może i te wielkie góry zostały nazwane Tatrami także od Tatarów dawnych. Nająłem sobie furmana Szymka Gardziela i z nim przejeżdżałem przez wieś Tatarynkę. Patrzę, a w tej wsi kościół i cmentarz w wielkim porządku, szkolny dom paradny, jak jaki dworek, chałupy porządne, koło nich sady, pasieki, drogi równe, a po chałupach trzask i wrzask wielki, bo tam różni rzemieślnicy wyrabiali to wozy, to beczki, to łyżki i przeróżne stoły, wrzeciona itd., które wożą na targi do Nowego Targu albo Sącza, a nieraz i do Tarnowa, Krakowa albo i dalej. — Lud jak dęby i czysty jak świece, a zamożny jak mało gdzie natrafić na coś podobnego koło nas i w naszych stronach. Widząc to uradowałem się bardzo i rzeknę do Szymona:

— Patrzajcieno Szymonie! widać w tej wsi dużo dobrego, kiedy jest dużo błogosławieństwa bożego. —

A Szymon powiada:

*

— Ale gdzie u ludzi grzechy i dużo złego, tam nie ma z Nieba pociechy, tam brak wszystkiego. —

— To święta prawda Szymonie! mówiłem ja; gdyby to wszyscy ludzie uważali na te słowa i słuchali, co te słowa nauczają, toby byli tak szczęśliwi, jak i ci w Tatarynce -- siedzą na górach, bliżej Nieba, daleko od zepsutego świata, znają, naprzód Boga, a Bóg sypie z obłoków rosę, na roli śliczne zboże a nie stokłosa, w stajni chowa się ładne bydełko jak gdyby z pudełka a cała wieś bogata i zdrowa, ha! bo ją Bóg strzeże i chowa!

A Szymon zdjął czapkę na moje ostatnie słowa i powiada:

— Niedziwota temu, że ci ludzie tacy i zawsze jednacy, bo to oni mieli prawa takie jak panowie, zawsze tu wielka pobożność z dawien dawna, ochota jeszcze większa na wszystko dobre, a ile to ich wyginęło za polski kraj na wojnach ze Szwedami, Moskalami, toby stanęła druga wieś taka a kto wie, może i dwie wsie takie.

— No! rzekłem ja, teraz jestem w domu i wiem, dlaczegoto ci gazdowie tacy ubłogosławieni zawsze od Boga!

A Szymon dodał jeszcze:

— Tu w tej wsi nie ma żaden ojciec kłopotu z synami, bo jak którego oddadzą do wojska, to zostaje starszym i albo nigdy nie wraca do dom albo wraca z takim chlebem łaskawym od Cesarza, że jemu wystarcza i rodzina ma pomoc od niego, a on jest mądrym radnym, albo pisarzem gromadzkim, albo idzie do szkoły i tam pomaga dzieci uczyć. Tak samo bardzo wiele dzieci rozchodzi się ztąd po całym świecie i każdy ma kawałek chleba między ludźmi. Ztąd więcej ludzi żyje w świecie, niż w tej wsi, tu zostaje tylko najpotrzebniejszy aby nie puścił z rąk ojcowizny, aby ród jego nie zaginał.

— To wszystko robi, mój Szymonie, rzekłem ja, wiecie co? Bojaźń Boga i nauka dobra. Kto umie wiele rzeczy rękami, ten się pomieści między krajanami, a komu dostała się jaka taka oświata, ten może iść i na koniec świata, a nic mu bieda nie zrobi. I tak jadąc rozmawialiśmy o różnych rzeczach gromadzkich, aż na końcu wsi ujrzałem w kupie trzy brzozy, wszystkie jednakowo grube i wysokie, jak trzy rodne siostry,

bieluśkie jak trzy dusze czyste i niewinne, a z konarami swemi były podobne do wielkiego brogu. Myślę sobie, to dobry zwyczaj dawny sadzić tak trzy po trzy dęby, lipy, brzozy, wiązy koło domu i mówię do Szymona:

Widzicie Szymonie te trzy brzozy, jak trzy panny niewinne z włosami rozplecionemi aż do ziemi świętej.

— Ha! widzę, powiada Szymon, to dobre dla cienia w lecie, dobre na opał, na wozy, a gałęzie dobre na miotły.

Ja zaś dodałem;

— A młode gałązki z pączkami zrywać i wygotować dobrze w wodzie pod pokrywką i w takiej letniej wodzie moczyć zbolałe rany, wrzody na nogach i rękach, to dobre lekarstwo, jeno trzeba codzień 3 razy wymoczyć po godzinie w jednej takiej wodzie — a na inne dni trzeba znowu odmieniać tę wodę. Ja Szymonie! zgoiłem tysiące takich ran ludziom biedakom tym sposobem. Dobre lekarstwo także i serwatka na takie wrzody. A znowu sokiem brzozowym smarować plamy na ciele, także pomaga. Na puchlinę zaś bardzo dobre są świeże liście brzozowe, okładać chorego opuchłego temi liściami, a puchlina pojdzie z Bogiem. —

Ale coraz bliżej zobaczyłem na środkowej brzozie jakieś czarne znaki. Zwyczajnie na białej łupinie było widać dobrze. Patrzę a to była wyrznięta liczba i na górze krzyżyk.

Wołam zaraz na Szymona:

— Stańcieno Szymonie! ja zobaczę i odczytam ten napis na brzozie środkowej. Idę i czytam rok pański 1820 i więcej nic. Co to ma znaczyć? A Szymon powiada:

— Tu w tej wsi miało się coś stać, tak rozgadują górale, ale ja już nie pamiętam tego.

Ja poszedłem do bliskiej chałupy; zapukałem do sieni, otworzył mi drzwi starowina siwiutki, który miał połowę twarzy ze znakiem, jakby mu kto skórę odarł z niej i na oko nie widział, ale chłop jak naszych dwu razem. Pochwaliłem Boga, on mię przywitał, usiadłem na progu i mówię:

— Mój panie Ojcze i szanowny staruszku! bądźcie też tak dobrzy i powiedźcie mi, na co to stoi ta liczba z krzyżykiem na brzozie tu za waszą chałupą?

A starowina rzecze:

— Niechno Jegomość pofatyguje się tam na ten plac, to ja pokażę i opowiem wszystko.

I poszliśmy. Było nas tam trzech z początku, ale wnet przyszli i ludzie ze wsi do nas. Starowina jął tak opowiadać:

— Pamiętam jak dziś, bo byłem sporym chłopakiem, jak tu na tym placu była ostatnia chałupa, gdzie gospodarował Walek Kuterba. Na to rozśmiał się mój Szymon, a starowina mu wypalił tak:

— Nazwisko, przezwisko nie błoci, jak są zasługi, tak też nikogo nie ozłoci, gdy są grzechy i długi. Kuterby pochodzą z pradziadów, byli tu gazdami, trochę to patrzy z tatarska, a nie z polska, ale to wszystko nic nie znaczy — mieli oni zasługi, ale i przewinili nie mało. Gdy konik ma obroku dużo, to bryka i fika, jak głupie zwierze, tak też i ludzie; jak jest chléb i grosz, to mu groź i groź, a on zapomina na Boga i na ludzi i na swoję duszę. A to i praca przeminie, jak się człek z Bogiem rozminie, a znowu przybywa praca, jak się głupi człek do Boga nawraca. I ojcowie tego Walka trzymali się dobrze, ale Walek poszedł za światem, pogardził bratem, nie dbał co Boża wola, aż go spotkała ciężka niedola. Było ich dwóch braci na gruncie ojcowskim — ale nie było tu ani we dnie ani w nocy zgody, jeno kłótnia ciągła i obraza Boga, aż się całej wsi uprzykrzyło. Na procesa poszło pół pracy ojcowskiej, na pijatykę poszła jedna część, a resztę przejedli, bo przez 3 roki ani siali, ani zbierali, jeden drugiemu zabraniał orać, i tak została tylko chałupa goła, a za chałupą grunt zarosły trawą gdzie się ludzkie bydło pasało. Tak było aż do tego roku jak stoi napisane na jednej brzozie.

— A gdzie się podziała i ta chałupa? pytałem rozciekawiony. —

— Z tą chałupą tak się stało, rzecze starowina: Gdy już wytracili do ostatniej koszuli ci bracia, młodszy z nich Józek Kuterba zaniemógł i tak się rozchorował, że nie było ratunku dla biedaka. Gdyby brat Walek był lepszym bratem i dał choremu ratunek jaki na początku zaraz, toby go był jeszcze uratował, ale Walek zacięty chodził koło pościeli chorego

jak mruk i czasem tylko popatrzył na brata czy jeszcze żyje, a potem zgrzytnął zębami i poszedł z chałupy. Ludzie tylko zaglądali do chorego i przynosili mu posiłek, przedstawiali Walkowi, aby był lepszym bratem i gadali mu:

— Ej Walku nieboże! i na ciebie to samo spaść może pamiętaj że i ty zginiesz jak sierota, a może gdzie na drodze koło płota. Pojednajcie się choć w ostatniej chwili, bo może Bóg wam dłużej tak robić nie pozwoli — pamiętaj Walku, brat ginie, ale ty może jutro pójdziesz za nim przed Boga! Ale Walek stał jak kamień na brata stękanie i na ludzi gadanie. Zawołali ludzie księdza z Panem Bogiem do chorego. Cała wieś stanęła koło chałupy Walka.

— No! przerwałem ja zdziwiony, toż teraz pewnie twardy Walek zmiękł i dał się pogodzić z konającym bratem?

— Ale gdzie tam! rzecze starowina ze łzami; kiedy ksiądz szedł do chorego brata, to Walek łap czapkę z kołka na głowę i zmykł w pole a wtedy aż jękli ludzie od żalu i strachu a ja wtedy żwawy chłopak pognałem za Walkiem i wołałem, że go ksiądz woła, aby się choć pożegnał z konającym, a ten niecnota zakamieniały i zły katolik palnął mię tak pięścią w głowę, że mi potem aż skóra zlazła z połowy twarzy i pono przez to zostałem ślepy na oko. Niech mu tam Bóg podaruje tę winę, on i tak został nieszczęśliwy, i już nie chodzi po świecie, a ja żyję z łaski Boga przecie.

— A cóż ksiądz na towszystko? zapytał zdziwiony Szymon, mój furman.

— Ksiądz, powiada starowina, przygotował na śmierć Józka, kazał darować Walkowi, ludzi napomniał, by tak nie robili, a Walka w modlitwie oddał na rękę Boga i przykazał aby mu nikt nic złego nie robił.

— No! zapytałem ja, a coż Walek zrobił?

— Walek, jak zły Walek, rzecze starowina, wrocił do chałupy, gdy się ludzie rozeszli, nawymyślał się na Józka, potem porwał go w ręce, wyniósł na dwór pod ścianę, ale biedny Józek skonał wnet. I rozpłakał się starowina, mnie także zakręciło się w ocazch a Szymon odszedł ku brzozom zapłakany.

— No! mówię ja, to teraz Walek dopiął swego niedobrego i został sam jeden na gruncie, ale mu pewnie niewyszło na dobre.

— Tak się stało może w godzinie, rzecze starowina. Byłoto pono tydzień po Bożem Ciele; ja byłem także w kościele i wróciłem do tej samej chałupy, gdzie teraz siedzę. Matka wzięła mię na pole do roboty koło ziemiaków. Wnet słonko miało zachodzić i my wróciliśmy do dom, mówiąc po dro

dze Anioł pański, bo było słychać dzwonienie na pacierze. Na zachodzie słonka były chmurki, ale jedna najczarniejsza i wiatr pociągał zachodowy, a chmurka czarna leciała sama jedna ku nam i łyskało się w niej i trochę raz zagrzmiało. Ja się przeżegnał na to i zacząłem lecieć ku chałupie wołając na matkę, aby się spieszyła. Wziąłem matce motykę z ręki i płachtę z chwastem, aby jej było lżej iść i byłem kilka kroków od chałupy, patrzę! a chmura coraz większa i już jednym rogiem przytyka do końca wsi naprost chałupy Walkowej. Ha! myślę sobie, chmura ta chmura, będzie lato, aż tu słyszę, że coś strasznie trzasło, aż ziemia zadudniała. Patrzę z pod mojej ściany, a dach z Walka chałupy lata w górze jak pazdzierze, a drzewo wszystko zwinięte i zwalone na jednę kupę tak, że ani poznać, gdzie była chałupa. Krzyknąłem aby ratować chorego Józka i Walka, bo nic nie wiedziałem, co się stało, aż ludzie nadbiegli i powiedzieli mi, że Józek skonał przed godziną i leży pod ścianą, a Walek w domu. Deszcz nie lał jak pięć pacierzy, chmura poleciała jak przyszła; ludzie rozebrali zwalone drzewo i znaleźli Walka ciało na miazgę zgniecione tak, że aż oczy z głowy na wierzch wylazły a ręce i nogi na drobne kawałeczki połamane a z Walka chłopa dużego i mocnego zostały kosteczki, które wyglądały w skórze jak woreczek sieczki.

Zdumiałem się na to opowiadanie starowiny i powiadam:

— To były naraz dwa pogrzeby tych braci, którzy się całe życie kłócili, bili, pili i procesowali! Ha! tak im dał Bóg śmierć, jak sobie zasłużyli. Ale powiadam dalej, to pewnie ksiądz wasz kazał tu posadzić te płaczące trzy brzozy i napisać to na wieczną pamiątkę, aby ludzie wiedzieli, jaki to Bóg cierpliwy ale i sprawiedliwy. —

Starowina mówił:

— Ksiądz kazał posadzić, a jak urosły, zgrubiały, to nasz jeden wyrznął nożykiem na nich te liczby i tak to stoi.

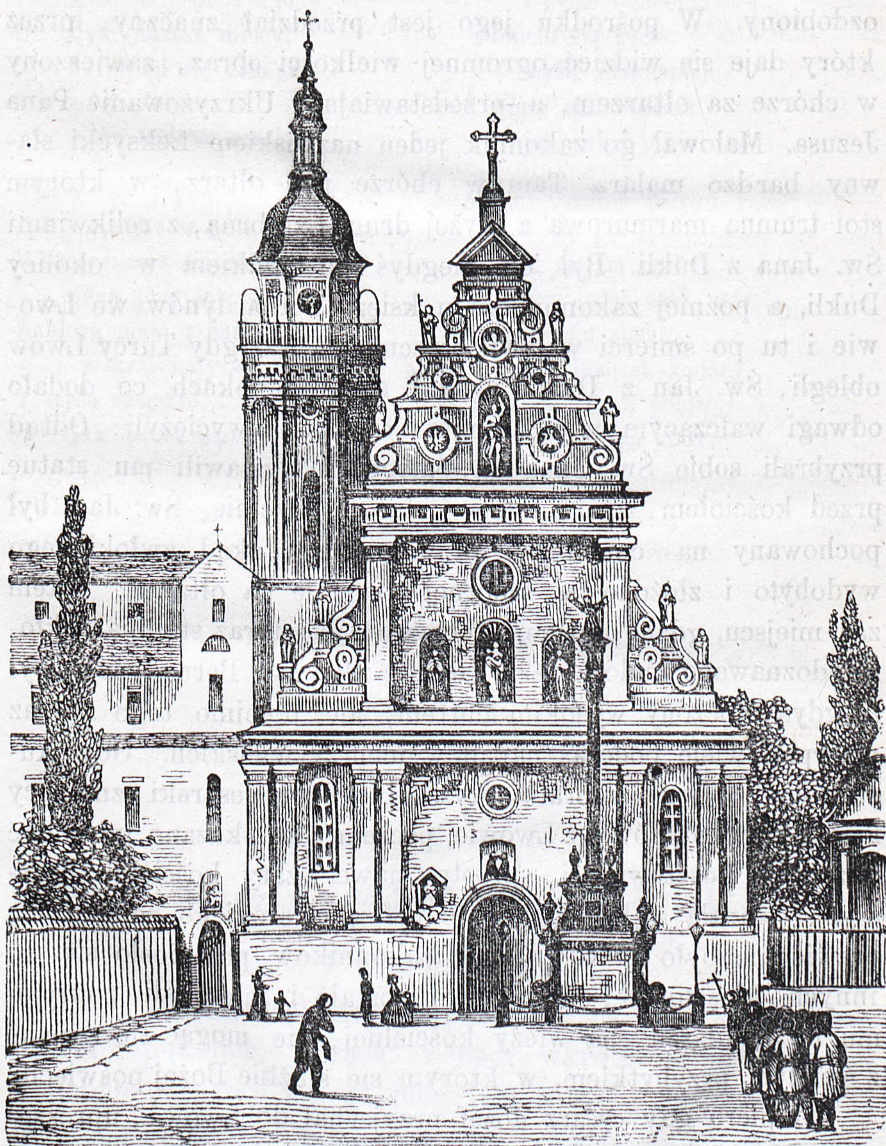
Ja odezwałem się do ludzi:

— Macie dobrą naukę w waszej wsi od ludzi ale i od samego Boga. Pamiętajcie na to, że między dobremi znajdzie się i zły — ale złych nie trza gnębić, prześladować, tylko przykładem, nauką i radą ich dusze ratować, trza mieć politowanie nad grzesznemi, a Bóg sam niech robi sądy z niemi. Wam staruszku dobry Bóg zapłać za opowiadanie, a ja to kiedyś opiszę w Dzwonku, drugim do czytania.

I odjechałem dalej. A wy co to czytacie, bierzcie sobie dobrze na uwagę, abyście byli takiemi, jak w Tatarynce są ludzie. a nie robili tak, jak ci dwai bracia.

Na placu tym nikt nie chce stawiać chałupy, a grunt po Koterbach rozkupili i za to szpital postawili. I wy tak róbcie!

Opiszemy wam jeszcze inne historyjki tak z gór, któreśmy słyszeli, jak i od Sandomierza, gdzie teraz nauczamy braci waszych. Żyjcie z Bogiem!



Kościół księży Bernardynów we Lwowie.

Nie tak pięknym ani bogatym jak krakowskie, ale także dość ozdobnym jest kościół księży Bernardynów we Lwowie pod

wezwaniem Św. Jędrzeja. Zbudowany jest z ciosowego kamienia i ozdobiony figurami świętych, także z kamienia wyciosanemi. Wnętrze jego niezwykłą uderza okazałością. Ołtarze są pięknie wyrzeźbione, suto złocone i obrazy w nich piękne.

Wielki ołtarz jest najpiękniejszy, postaciami świętych ozdobiony. W pośrodku jego jest przedział znaczny, przez który daje się widzieć ogromnej wielkości obraz, zawieszony w chórze za ołtarzem, a przedstawiający Ukrzyżowanie Pana Jezusa. Malował go zakonnik jeden nazwiskiem Leksycki sławny bardzo malarz. Tam w chórze jest ołtarz, w którym stoi trumna marmurowa a wyżej druga, srebrna, z relikwiami Św. Jana z Dukli. Był on niegdyś pustelnikiem w okolicy Dukli, a później zakonnikiem u księży Bernardynów we Lwowie i tu po śmierci wsławił się cudami. Raz gdy Turcy Lwów oblegli, Św. Jan z Dukli ukazał się w obłokach, co dodało odwagi walczącym mieszczanom, tak, że zwyciężyli. Odtąd przybrali sobie Św. Jana za patrona i wystawili mu statuę przed kościołem, którą także widać na rycinie. Św. Jan był pochowany na cmentarzu przy kościele, zkąd zwłoki jego wydobyto i złożono w srebrnej trumnie na ołtarzu, w tem zaś miejscu, gdzie dawniej spoczywał, jest teraz studnia u której doznawano cudów. — Klasztor księży Bernadynów był niegdyś otoczony wysokim murem, ale pomimo tego nieraz ucierpiał wiele podczas napadów nieprzyjacielskich. Gdy Austryjacy Galicyę zabrali, wyszedł dekret cesarski znoszący księży Bernardynów we Lwowie, poczem zaraz kazano im oddać wszystkie kosztowności, sprzęty, nawet szaty kościelne Starszyzna starała się w Wiedniu o cofnięcie srogiego nakazu, ale prawie nie było nadziei. Wielu zakonników przeniosło się do innych klasztorów, kilku tylko zostało i mieszkali pokryjomu na poddaszu, na wieży kościelnej, nie mogąc się rozstać z świętym przybytkiem, w którym się służbie Bożej poświęcili.

Dopiero gdy cesarz Józef przyjechał do Lwowa, uproszono go że klastor z kościołem na powrót oddał księżom Bernardynom.

Krakowiak.

Szumi wietrzyk szumi
marszcząc Wisły wody
A ja sobie śpiewam
Kiedym jeszcze młody,
Bo gdym jeszcze młody,
świat mi się uśmiecha,
I wesołej piosnce,
ciche wtórzą echa.

Wisły fale płyną
Wygięte w półkola —
Wkrótce czas się zmieni
inna przyjdzie dola:
Zabiorą mnie z chaty
w kraj inny — daleki,
I serce zatęskni,
jak szmer naszej rzeki.

Pada listek pada
od wiatru jesieni,
Tak się z czasu biegiem
i życie odmieni.
Odmieni się życie,
myśli spoważnieją,
I włosy nad skronią
jak śnieg pobieleją.

Szumi lasek szumi,
mieszając powietrze,
A nad mojem czołem
siwy włos wiek zetrze.
I zgięty ku ziemi
jak brzozek konary . . .
W zimny grób położę,
moje kości stare.

Wieje wietrzyk wieje
pędząc Wisły wody,
Więc ja sobie śpiewam,
pókim jeszcze młody.
I młody i hoży
gonię piosnek echa,
Dokąd jeszcze w koło,
świat mi się uśmiecha.

F. z n. L.

Waszemu zdrowiu na pożytek.

Krótka nauka o śnie.

Gdy się człowiek zmęczy pracą ręczną, albo chodzeniem, usiada spokojnie, a ręce i nogi wkrótce sobie wypoczną. Podobnie jak ręce i nogi, mózg człowieka także pracuje ciągle, a nawet więcej jak one: bo i wtedy, gdy ręce i nogi odpoczywają, człowiek myśli ciągle o czemś, ciągle coś rozważa, układa, oblicza, ciągle mózg swój do ustawicznej pracy przymusza. Mózg więc także potrzebuje spoczynku; jedynym

zaś, ale też wybornym dla niego spoczynkiem, jest sen. Wszystkie istoty posiadające mózg, potrzebują snu.

Mózg wzmacnia się we śnie do dalszej pracy, tak jak się ręce i nogi wzmacniają wypoczynkiem. Ale bardzo często i to z rozmaitych przyczyn, mózg, mimo woli i chęci naszej, pracuje i wtedy, gdy spimy. Gdy się nam we śnie nasuwają jakieś obrazy i widziadła, gdy się snują przed nami różne zdarzenia, to wesołe i przyjemne to znowu okropne i przerażające, gdy się nam zwidują jakieś osoby udzielające jakoby przepowiedni i przestróg, jest to wszystko pracą i zupełnie bezpożytecznem natężeniem naszego mózgu. Są to senne marzenia, senne złudzenia, do których żadnej wiary przywiązywać się nie godzi i które, jeżeli się czasem sprawdzą to tylko przypadkiem. — Bóg wiara, sen mara, mówi przysłowie. Wiara w sny, wyprowadzanie z nich wróżb, układanie numerów na loteryę itp. jest nietylko bezpożyteczną, ale i grzeszną zabawką. — Bądź co bądź, ponieważ sen ma być dla mózgu wypoczynkiem, a marzenia senne są dla niego nową i męczącą pracą, przeto sen połączony z marzeniami, nie jest tak orzeźwiającym jak spokojne, twarde spanie bez marzeń.

Przychodzi czasem na ludzi dziwna choroba tego rodzaju, że ci, którzy w nią popadną, wykonują we śnie z zamrużonemi oczami rozmaite czynności, a nawet oknami wychodzą i wspinają się wysoko. Ludzie tej chorobie podlegający nazywają się lunatykami.

O tej chorobie jakoteż o śnie czasem kilka dni bez przerwy trwającym, który zowie się letargiem, innym razem mówić będziemy; teraz zaś jeszcze tylko kilka przestróg, jakim sen być powinien, aby nas jak należy pokrzepił.

Aby sen mógł nas prawdziwie pokrzepić, winien być dość długi, spokojny, twardy, nieprzerywany. W pierwszych chwilach po ułożeniu się na spoczynek bywa najtwardszy i najspokojniejszy, dla tego najbardziej potrzeba się wystrzegać aby go wówczas nic nie przerywało. Izba w której sypiać mamy, powinna być dość obszerna, dość ciepła i cicha, z powietrzem czystem, suchem powinna mieć okna zwrócone ku zachodowi lub południowi, lecz nie w tę stronę z której wydo-

bywa się wilgoć lub smrodliwe powietrze. Wielce to zdrowiu szkodzi gdy powietrze w izbie do spania przeznaczonej jest zanieczyszczone smrodliwemi wyziewami, a jest takiem wtedy, gdy w tej samej izbie oprócz ludzi, sypia bydło i drób, gdy zbyt wiele ludzi spi w jednej izbie, gdy pościel na której sypiają jest nieczysta i rzadko lub nigdy nieprzewietrzana, gdy dym z pieca wychodzi na izbę, gdy się wreszcie suszą w izbie chusty świeżo wyprane. Podobnież zanieczyszczają powietrze w izbie zbytnie zapachy z kwiatów. Aby więc tego uniknąć i zdrowia nie narażać, potrzeba częstem otwieraniem okien odświeżać powietrze w izbie do spania przeznaczone. Najbardziej szkodliwem jest zaczadzenie przez zawczesne zatkanie pieca, ale spanie przy otwartem oknie, pod zimną ścianą, naprzeciwko okien i drzwi, z powodu przeciągów również łatwo może zaszkodzić. Łóżko powinno być dość długie i szerokie, na niem pościel ani za twarda, ani za miękka, ani za zimna, ani za ciepła, a przedewszystkiem czysta. Ponieważ głowa powinna leżeć nieco wyżej niż całe ciało, przeto poduszka nie ma być zbyt mała. Małe dzieci, osoby stare i słabe potrzebują cieplejszej pościeli. Spanie jednak kilku osób w jednem łóżku aby im cieplej było, zwłaszcza słabych z zdrowemi, dzieci z staremi, wcale się ani jednym ani drugim nie przyczynia do zdrowia. Czy się spi na prawym, czy na lewym boku jest to zupełnie wszystko jedno, niech więc każdy tak spi jak mu lepiej.

Kto jest zdrów i dnia nie zmarnował na próżnowaniu ten pewnie dobrze spać będzie w nocy, byle tylko przestrogi powyższe zachowywał. Bezsenność jest chorobą bardzo męczącą, dlatego kto jej podlega, winien zawczasu udać się do lekarza. Aby tej choroby uniknąć, potrzeba idąc spać nie objadać się zbytecznie, unikać rozdrażnienia, gwałtownych uniesień i trosków. Często i wtedy zasnąć nie można, gdy się idzie spać zupełnie głodnym, ale wówczas łatwo sobie poradzić bo lekki posiłek niebawem sen przywróci. Niektórzy rodzice gdy ich dzieci popadną w bezsenność, używają różnych środków szkodliwych, aby je do spania pobudzić. Jedni radzą na to kąpać dzieci w odwarze główek makowych, drudzy twier-

dzą że trzeba wówczas kołysać mocniej niż zwykle, inni wreszcie zalecają dawać dzieciom wódkę. Wszystkie te środki na bezsenność dzieciom zalecane są bardzo szkodliwe i bywają powodem że dzieci dostają zapalenia mózgu, konwulsyi, lub zapadają na wodę w głowie. Dlatego żadna dobra matka, pragnąca dziecię swoje wychować i doczekać się z niego pociechy, takich środków nigdy nie używa, lecz ujrzawszy że dziecię jej sypiać nie może, dochodzi przyczyny tego, a wreszcie udaje się do lekarza. Niebezpiecznie jest także kłaść niemowlę obok siebie w łóżku, bo zasnąwszy twardo, można je zadusić.

O bezsenności osób dorosłych tyle jeszcze powiem że pewien król, wezwał raz siedmdziesięciu uczonych i radził się co ma czynić, aby w nocy mógł spać dobrze; a uczeni odpowiedzieli mu, że najlepszym na to środkiem jest pełnienie dobrych uczynków we dnie a rozmyślanie o rzeczach boskich i niebieskich wieczór. Ale bo też sen tak jest podobnym do śmierci że niepodobna udać się na spoczynek bez pomyślenia o Bogu, bez modlitwy. Idąc więc spać prośmy Boga aby odwrócił od nas nocne przygody, aby czuwał nad nami i spijmy tak, aby i sen nasz chwalił Boga, a te kilka godzin nocy przeminą nam spokojnie i przyjemnie.

St. Krakowczyk.

Złote ziarna.

Padnie taka budowla, gdzie grunt nie jest stały.
Chcemy nasz stan, stan kraju ustanowić trwały,
Odmieńmy obyczaje, a jąwszy się pracy,
Niech będą dobrzy, będą szczęśliwi Polacy

Tyś czuła boleść o Matko jedyna,
I siedm mieczów było w Twojem łonie
Kiedyś na krzyżu zobaczyła syna —
Chciej dziś cierpiącym stanąć ku obronie.

Rady i przestrogi gospodarskie.

— Liszaje u bydła dorosłego i cieląt. Bydło mające liszaj wylizuje go bezustannie ostrym językiem aż do krwi, co mu tem łatwiej, że liszaj u bydła dorosłego zjawia się najczęściej na krzyżu przy ogonie i zajmuje ogon. Cielęta dostają go nietylko na krzyżu, ale i na szyi.

Cobądź używa się na zgubienie liszaja', to potrzeba bydło krótko wiązać, aby użytej na liszaj maści nie zlizywało, a cielęta odłączać, aby jedne drugim miejsc smarowanych nie zlizywały, a zatem kuracya taka połączona jest z wielkiemi trudnościami, trwa długo, a nie zawsze skuteczna; bydło mizernieje coraz więcej, bo krótko uwiązane, nie mogąc językiem świerzbiącego miejsca dosięgnąć, niepokoi się, szarpie na uwięzi, i jeżeli w oborze jest takich sztuk kilkanaście, potrzeba pilnego dozoru, aby nie było jakiego wypadku.

Liszaj w oborze należy do bardzo często trafiających się wypadków, powstaje ze zbyt zimnej lub zbyt ciepłej obory, a często z nieporządnego utrzymywania.

Najprostszym, najzupełniej skutecznym, prędko działającym a żadnego zachodu niewymagającym, jest środek następujący:

Najprzód miejsce dotknięte liszajem wymywa się dobrze mydłem, obciera się do sucha czystą szmatą, a tymczasem przyrządzone być powinno takie smarowidło:

Bierze się krążek *paku* czyli tak zwanej *szewskiej smoły*. Na żarzących wolno węglach rozpuszcza się smoła w ryneczce glinianej, a gdy dostatecznie roztopioną została. wlewa się do niej mały kieliszek kwasu siarczanego (*witriolu*), to się dobrze wymięsza, i gdy ochłodnie trochę, aby jednak dobrze ciepłe było, niesie się do obory, a tam zamięszawszy, macza się pędzel i tym nietylko sam liszaj, ale jeszcze dalej poza nim naokoło na parę cali i okolicę liszaja zamazać trzeba.

Co dopełniwszy, smoła bardzo prędko w twardy plaster zasycha. Bydlę nie jest w stanie jej zlizać i po kilku daremnych usiłowaniach pozostaje spokojne. Kwas siarczany natychmiast niszczy zgniliznę liszaja, a smoła dobrze do ciała przy-

stając ochrania miejsce, obrażone od działania powietrza i od dalszego ranienia ostrym bydlęcia językiem.

Gdy pod taką skorupą liszaj się wygoi, skorupa wtedy sama odpada, i wtedy miejsce przedtem krwawym liszajem zajęte i zeszpecone okaże się najzupełniej czyste, z nowym zdrowym nadskórkiem, który szybko szerścią pokrywać się zacznie.

Jeden krążek smoły i mały kieliszek kwasu wystarcza mniej więcej na jeden duży liszaj.

Nic nie zaszkodzi użycie smoły w większej ilości, ale w użyciu kwasu trzeba być umiarkowanym, gdyż nadmiar jego byłby szkodliwym, na co szczególnie przy użyciu go dla cieląt, mających cieńszą skórę, uważać potrzeba.

Rozmaitości.

Tania wieczerza. Pewien biedak, mający kilkoro dzieci, wynalazł ciekawy sposób oszczędnego ich wyżywienia. Oto gdy wieczór nadchodzi i dzieci radeby się czem posilić nim pójdą na spoczynek, tak się z niemi układa:

— Moje dzieci! które z was pójdzie spać bez wieczerzy, dostanie dwa grosze.

— Ja wolę dwa grosze jak wieczerzę, ja wolę dwa grosze jak wieczerzę, wołają dzieci.

Każde więc dostaje dwa groszy i idą spać głodne. Nazajutrz gdy dzieci powstawają i zaczynają upominać się o śniadanie, ojciec tak im powie:

— Moje dzieci! kto chce jeść śniadanie, musi dać dwa grosze.

Dzieje narodu polskiego. Wyszła pod tym tytułem bardzo piękna i pożyteczna książka, ułożona przez Józefa Chociszewskiego. Napisana jest jasno, przystępnie i ozdobiona sześćdziesięcioma obrazkami. Oprócz wielu innych zalet ma i tę, że jest bardzo tania, to też ani wątpić że wszystkie czytelnie i biblioteczki nie omieszkają zaopatrzyć się w to piękne dziełko.

Na początku jest wstęp objaśniający dlaczego znajomość Dziejów narodowych jest potrzebną każdemu człowiekowi, choćby on był tylko prostaczkiem lub dzieckiem nawet; wstęp zaś ten rozpoczynają następujące piękne wiersze księdza biskupa Krasickiego.

Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe.
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe!
Kształcisz kalectwo przez chwalebne
blizny.
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe.
Byle cię tylko można wspomódz, wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.